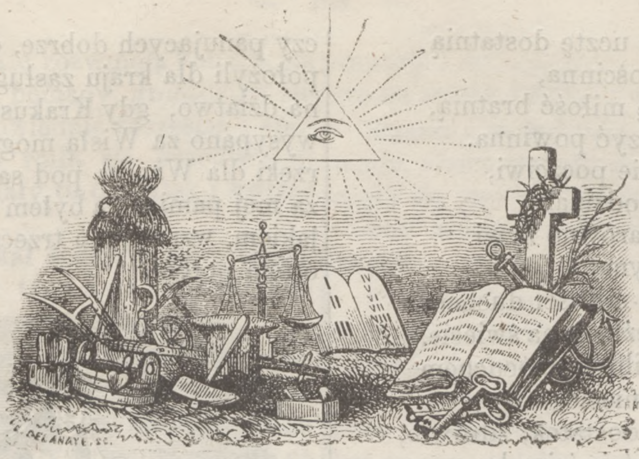
№ 21.

WARSZAWA

d. 14 (26) maja

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Ci, co z prawdziwą pokorą pracować będą nad zwyciężaniem samych siebie, pomiędzy innemi drogiemi owocami tego, powezmą takie niedowierzanie sobie, a taką ufność w Boga, iż dla chwały jego zdolni będą do największych ofiar. (Śty Franciszek Xawery)

Chrzciny.

—

Zbudzona ziemia jaśniała wiosną,
Przecudną w całej naturze,
Skowronek dzwonił piosnkę radosną,
W błękitnym tonąc lazurze;
W ciszy poranku, wśród całej wioski
Strojni się snuli wieśniacy,
Bo Bóg dał święto, a dzionek boski,
To czas spoczynku po pracy.
Wózek za wózkiem przejeżdżał drogą,
W nim starzy i młódź wesoła
Z odległych włości śpieszą jak mogą
Na świętą mszę do kościoła.
Wtem dzwon kościelny ozwał się z wieży,
Niebios odbity sklepieniem,
I cichy ludek w porządku bieży
Z świętem modlitwy pragnieniem.
Z zakrystyi wyszedł ksiądz siwowłosy,
Pobożnym duchem czekany,
W modlitwie wszystkie wzniosły się głosy
Ku chwale Pana nad Pany.
Gdy kapłan skończył ofiarę Bogu,
Szat zmieniać długo nie zwlekał,
Bo już od chwili w świątyni progu
Nowy obrządek go czekał.
Strojno przybrana kmieca drużyna
Stała tam modląc się szczerze,
A wśród niej kwili drobna dziecina,
Co dziś chrzest święty odbierze.
A gdy już przy niej stał sługa boski,
Wolny od dziwacznej dumy
Ojciec dziecięcia, właściciel wioski
Wzruszony skinął na kumy.
I przystąpili zacni wieśniacy,
Łzy wszystkim zrosiły lica,
Gdy na swych rękach stwardłych od pracy
Podali dziecię dziedzica.
Bo ojciec chrzestny i chrzestna matka
Z czuciem serdecznej miłości,
W duchu wzywali Boga za świadka,
Że spełnią swe powinności.
A po chrzcie świętym z sercem wzruszonem,
Ściskając ludek kochany,
Szlachetny dziedzic z wieśniaków gronem
Podążył w domowe ściany.

I tam gdy właśnie ucztę dostatnią
Dłoń im stawiła gościnna,
Ponowił z nimi tę miłość bratnią,
Co wszystkich łączyć powinna.
By uwierzyli ludzie poczciwi,
Że naród jest to rodzina,
Bo jedna ziemia zarówno żywi
Bogacza i chaty syna.
Oby tak wszędzie miłości duchem
Wpośród prób ciężkich na świecie,
Jedność i zgoda silnym łańcuchem
Wiązała pany i kmiecie;
Za niemi wstąpią dostatek, zdrowie,
Ta prosta do szczęścia ścieszka,
Boć nie na próżno głosi przysłowie:
Gdzie zgoda, tam Pan Bóg mieszka!

Chata Modrzewiowa.

(Patr Nr Czytelni 19 z r. b.)

Na drugi raz pan Jacenty tak dalej opowiadał dawne dzieje:

Po Krakusie śliczna i młoda *Wanda*, siostra jego panowała, która uczyniła ślub, iż za mąż nigdy nie pójdzie. Starał się o jej rękę Rytyger, książe niemiecki; kiedy mu odmówiła, ten rogniewany wydał wojnę i z niemcami przyszedł pod Kraków. Wanda gdy się ukazała na polu bitwy, samym swoim widokiem hufce niemieckie odstraszyła, że te bić się nie chciały.

Rytyger z gniewu i wstydu sam się zabił, a piękna Wanda spełniajac ślub, jaki zrobiła za otrzymane zwycięztwo, wybiegła na skałę co sterczała nad Wisłą, rzuciła się z niej w wodę i utopiła.

Polacy dobyli z Wisły jej zwłoki, i niedaleko Krakowa pochowawszy, wysypali wysoki kopiec z ziemi, jak to w obyczaju pięknym miał nasz naród rolniczy, który się dotąd przechował i nosi zawsze nazwisko *Mogiły Wandy.*

Żałowali wszyscy i płakali młodej i tak ślicznej Wandy; długo śpiewano pieśni poświęcone jej pamięci, usypano wysoki kopiec z ziemi tak jak Krakusowi. O! piękny to zwyczaj w kraju rolniczym, z tej samej świętej ziemi, z której żyjemy, co nas karmi plonem swoim, wysypywać mogiły, ażeby uwiecznić imiona czy panujących dobrze, czy takich, co wielkie położyli dla kraju zasługi. I otóż moja kochana dziatwo, gdy Krakusowi na *Krzemionkach* wysypano za Wisłą mogiłę, a z drugiej strony rzeki dla Wandy pod samym Krakowem, już za mej pamięci, a byłem wtedy dojrzałym wojakiem, wzniesiono trzeci dla Kościuszki. Ale o tem potem.



Nie będę wam wyliczał szeregu dalszych panujących książąt, ale powiedzieć wam muszę o dwóch głównie, których pamięć się dotąd między narodem utrzymała, to jest o Popielu i Piaście.

Popiel był zły i nieużyty człowiek. Dwóch pielgrzymów przybyło do jego dworu w gościnę; on ich nie tylko nie przyjął i nie uczcił, jak tego wymagał obyczaj narodowy, co to *choć chlebem z solą, ale z dobrą wolą* najuboższy podejmował podróżnego, ale jeszcze z zamku swego wypędzić ich kazał.

Smutni pielgrzymi szli ze spuszczonemi głowami ponad jeziorem Gopłem, gdy przy jednym pagórku, ponad wodą, w cieniu drzew ujrzeli ubogą chatę pod strzechą słomianą.

Liściasta lipa szerokie rozwinęła konary, na szczycie dachu białe bociany gnieździły się corocznie, jako przepowiednie szczęścia i spokoju. Liczna pasieka roiła się pracowitemi pszczółkami, które miały tu dostatek i kwiatu i wody.

W tej chatce mieszkał sędziwy już w latach *Piast* kołodziej, który tego dnia obchodził uroczysty dzień *postrzyżyn* swego syna.

Obrzęd to był, moje dzieci, pogański, bo jeszcze nie znano u nas świętej nauki Chrystusa Pana. Żaden krzyż nie rozciągał swoich ramion błogosławionych, zażegnywając tę ziemię na błogie szczęście i plon obfity, jak to później było i jest teraz.

Wtedy gdy chłopak kończył lat siedm wieku, spraszano sąsiadów i przyjaciół, zastawiano ucztę czem chata była bogata i raczono serdecznie, bo i w owe czasy szanowano cnotę gościnności. Kiedy się wszyscy w jedno koło zebrali, ojciec lub najstarszy wiekiem chłopcu pierwszy raz obcinał włosy.

Tego dnia, gdy dwaj pielgrzymi wypędzeni z zamku Popiela, ujrzeli chatę Piastową, właśnie w niej zabierano się do postrzyżyn. Zaproszeni do biesiadników koła, syna mu sami postrzygli i dali mu imie *Ziemowita*, przepowiadając, że z czasem będzie panującym książęciem. Namówili zarazem Piasta, że poszedł i zaprosił na ucztę księcia Popiela.

Z przybyciem panującego, wielka ciżba naszła nowych gosci. Piast się kłopotał, czy wystarczy mu jadła i napojów; ale owi pielgrzymi, co byli aniołami Bożymi, tak rozmnażali cudownie miód i mięso, że wypróżnione naczynia z mięsiwem zawsze pełne były, jak i dzbany z miodem.

Tak tedy hojnie uraczył i księcia Popiela z dworzanami jego, i swoich krewnych i przyjaciół.

Książe Popiel miał żonę niemkę, która w obawie, aby który z stryjów nie pozbawił go tronu, bo lud zaczynał już przeciw niemu sarkać, podmówiła męża, że ten wszystkich zaprosił do siebie na ucztę, a miód w czarach zaprawił trucizną i wszystkich wytruł. Ażeby zaś zatrzeć ślady tak strasznej zbrodni, kazał ich ciała powrzucać do jeziora Gopła. Ale kara Boża go doścignęła; w ciałach tak marnie zgubionyoh stryjów wyroiły się nieprzeliczone szczury i myszy, które chmarami ruszyły prosto na zamek książęcy w Kruszwicy.

Straszny to był widok, jak te zajadłe gromady, skoro stanęły pod murami zamku, zaczęły się piętrzyć jedne na drugich i wrotami i okny wdzierały się na podwórzec i do pokojów.

Przestraszeni dworzanie, co zawsze obiecywali życie dla Pana swego poświęcić, pierwsi uciekli. Książe Popiel, widząc, że przed zajadłymi gromadami nie obroni się, zabrawszy żonę i dwóch synów, uchodził z zamku, myszy tuż za nim; uciekał polami, aż dopadł jeziora. Patrzy, myszy go dochodzą, a na jeziorze stoi czółno, w niem go czekał stary sługa, którego niedawno przedtem, nie zważając na siwiznę, kazał srodze ochłostać i wypędził niesprawiedliwie. Starzec zapomniał ciężkiej krzywdy swojej i przybiegł na ratunek pana.

Co rychlej Popiel w łódź wsiada z rodziną swoją i uchodzi, bo już gromady myszy nadbiegły, a gdy odbił się od brzegu, rzuciły się za nim w jezioro.

Stary sługa dzielnie robił wiosłem, pomagał mu sam książe i przestraszona żona niemka, tak że zdążyli dobić na wyspę, gdzie stała wysoka murowana wieża. Tu się schronili wszyscy.

Ale gdzież jest uchrona dla zbrodni? Nie zasłonią winnego człeka ani warowne mury, ani żelazne zbroje, gdy wiatr gniewu Bożego powionie. Nie pomogły ani kratowane okna, ani drzwi okute; myszy się przedarły i zagryzły Popiela wraz z żoną i synami, nie tknąwszy starego sługi, który z płaczem patrzał na śmierć księcia i całej jego rodziny.

Taką karą straszną wyginął cały ród panujący Popielów.

Kiedy się wędrowało po świecie z szablą w ręku, stanęliśmy blisko Kruszwicy. Ja zapamiętałem śmierć Popiela, bo w tej samej *kronice*, którą trzymam w ręku, wyczytałem.

Poszedłem nad jezioro *Gopło*. Noc była pochmurna, czasami tylko księżyc w pełni wychylał się z za obłoków i odbijał się w spokojnych wodach. Zdala na wyspie jeziora zeszczerbione a wzniosłe mury wieży czerniły; w części oświecał je księżyc, w części kaganiec na jej szczycie gorejący, co służył za latarnie strażniczą.

Śliczny to był obraz, dlatego też żywo zachował się w mej pamięci. Na ogromnem jeziorze bieliły czasem żagle łodzi i statków, na tratwach błyszczały ogniska, przy których flisy gotowali wieczerzę. Patrząc na nie, zdawało się, jakby ze środka fali Gopła ogniki pobłyskiwały.

Podszedłem bliżej wieży i stanąłem zadumany, gdy po chwili usłyszałem głos:

— Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony.

— Na wieki wieków amen! odrzekłem zdziwiony, ujrzawszy w pobliżu wyniosłego wzrostu starca.

Twarz miał dziwnie piękną, na obliczu jeszcze czerstwy wykwitał rumieniec. Czapka rogatywka okrywała mu głowę, gęste kędziory siwych włosów spadały mu na ramiona. Stał wsparty na kiju i poglądał jakby załzawionemi oczyma na spokojne zwierciadło Gopła; księżyc wypłynął z za chmury i oświecił całą okolicę.

— To waszeć widzę nasz wojak, patrzysz na naszę *myszą wieżę*, rzekł do mnie.

— Więc to tu króla Popiela zjadły myszy? zapytałem, przypomniawszy sobie, com wyczytał w domu.

— Tak ludzie gadają, ba i kroniki piszą stare, ale ja od mego dziadka inaczej słyszałem, a to był stuletni starzec: zjadłyć Popiela myszy, ale nie czworonożne tylko inne myszy.

— Alboż są inne myszy mój ojcze? odrzekłem z uśmiechem.

— Znać, że waszeć nie z tutejszej strony, bo u nas to dawna i znana powieść (mówił starzec, poglądając na myszą wieżę.) Ot, jak widzicie po drugiej stronie jeziora, na tym wzgórku, co ciemnieje w oddali, stała wieś duża i zamożna, zamieszkana przez jednę rodzinę równie dobrych rolników jak i dzielnych żołnierzy. Każdy czy do szabli czy do kopii, a myśliwiec tęgi, chłop w chłopa. Wieś tę zwano *Myszy*, a mieszkańców także *Myszy*.

Owóż, kiedy król Popiel miał ich w podejrzeniu, tak nocą ze zbrojnym hufcem wyszedł żeby napaść niespodzianie, w pień wyciąć, a kobiety i dziatwę zabrać w niewolniki.

Ale tak zrządziła Opatrzność, że w orszaku Popiela był jeden rodem z tejże wsi, o czem nikt nie wiedział; on tedy skrycie ujechał i wcześnie swoje *Myszy* uwiadomił, co na nich przygotowano.

Tak zaraz cichuteńko wszystko co żyło i zdolne do broni, stanęło w ordynku; najstarszy z Myszy stanął za hetmana, kobiety i dziatwę wysłano na łodziach w skrytki dobrze sobie znane na jeziorze Gople, a młódź i starce, ukryli się w lipowym lesie i czekali.

Król Popiel o północku napadł na wieś, ale żywej duszy nie znalazł; a w tem z obu stron osady zabrzmiały trąby i *Myszy* błysnęli szablą i kopiją. Krótka była bitwa, cały orszak królewski padł trupem, on sam z kilkoma uszedł tylko z ogólnego pogromu. Ale Myszy nie dali mu pokoju, ścigali go do Kruszwicy, zdobyli zamek. Wtedy król Popiel, zabrawszy żonę i dwóch synów, dostawszy się na łódź, jeziorem zaczął uciekać. Daremna nadzieja. Myszy dosiedli na lotne łódki i dalej za nim pędzić, aż go zagnali do tej wieży, na którą patrzymy obadwa.

Byłyć za prawdę mury w niej grube, drzwi żelazne, ale nic się oprzeć nie mogło silniejszym rękom i barkom zawziętych myszy.

Wybili *bronę* i z dobytemi szablami wpadli na najwyższe piętro, gdzie w komnacie ukrył się Popiel z żoną i synami. Tam też rozsiekani zginęli; a tak prawda jest co bajali, że go myszy zjadły, zjadły go, ale *myszy* rycerskie, co ukarali zdradę Popiela, który z namowy niemkini chciał najpiękniejszą wieś z dymem puścić, a dzielny ród polskich Myszy wymordować.

Tak wyginęła rodzina *Popielów*, a pamiątką po nich dotrwała wieża, może nie ta sama, ale ta sama ziemia.

— Dziękuję wam ojcze za to objaśnienie, odrzekłem ściskając dłoń starca, jutro pójdę na ten wzgórek, gdzieś mi wskazał, że stała wieś *Myszy*.

I nazajutrz popłynąłem tam, ale ani śladu nie zostało, że tu kiedyś ludzie zamieszkiwali. Wzgórek zarósł drzewem i krzewiną, znać pług od wieków nie dotknął tej ziemi.

O płóciennictwie.

I.

Powszechne jest w kraju narzekanie na drogość i brak płótna, nie tylko cieńszego, ale i grubszego, a nikt się nie stara, jakby tej dro-

żyznie i niedostatkowi zaradzić. Najbardziej obwiniają kobiety wiejskie, że się opuszczają i zaniedbują wyrobu płócien domowych, oraz tkanin do ubrania potrzebnych.

Prawda to w części, lecz nie ze wszystkiem; kobiety winne są tam, gdzie się len nie rodzi, który nie na każdym gruncie i nie co rok udaje się, a jeżeli urodzi się, to drobny, mało i złe wydający włókno, tak, że się uprawa jego nie opłaci. To jest główną przyczyną, że się u nas płóciennictwo nie rozwija, tak jak w krajach zachodnich. Z Niemiec, Belgii, Anglii, a nawet z Hollandyi przemysłowcy do swoich fabryk płótna zakupują i sprowadzają w znacznych massach len dorodny z naszej krainy, położonej ponad dolnym Niemnem za Wilią, w stronach ku morzu Baltyckiemu, mianowicie na *Litwie* i *Żmudzi*, gdzie rodzący się wielki len i siemię z tegoż, bogactwo tamtych stron stanowi.

Oprócz tych stron, piękny len rodzi się jeszcze na *Podolu* i w *Szlązku*. Tam klimat nadmorski, a tu położenie podgórskie sprzyjają uprawie tej szacownej rośliny, dającej więcej pożytku niżeli pszenica. Pożądana byłaby wiadomość, jak też len rodzi się u nas na gruntach żyznych *Kujaw* i na *czarnoziemach* powiatów: *Stopnickiego, Krasnystawskiego* i *Hrubieszowskiego*, oraz dalej na *Ukrainie*, gdzie wysilenie całe obrócone jest na uprawę pszenicy, a o lnie nigdy żadnej nie ma wzmianki. Pszenicy wszakże z innych krajów sprowadzanej, potrzebuje tylko Anglia i w części Francya; lnu zaś, czyli płótna z niego wyrabianego, wszystkie pięć części świata potrzebują. *Siemię* lniane na olej, Anglia sprowadza morzem o trzy tysiące mil, aż z *Indyj* wschodnich, taka jest u niej tego potrzeba i to się opłaca, pomimo że w przewozie różnych towarów, co rok ginie tam znaczna liczba okrętów i różnych statków, z rozbicia i zatopienia się na morzu.

Czemże się to dzieje, że inne kraje, zakupujące len od nas i sprowadzające do siebie tak daleko znacznym kosztem wyrobione z niego płótno, potem taniej nam sprzedają, niżeli ono u nas kosztuje? Oto przemysł wynajdując do wszystkiego machiny, dla zastąpienia uciążliwej i powolnej pracy rąk ludzkich, wymyślił i zbudował *machiny do przędzenia lnu* najtrudniejsze w zrobieniu ze wszystkich innych, które tak dalece są już udoskonalone, że poruszane za pomocą wody lub pary, w przędzeniu jedna zastępuje tysiące *kądzieli* i *kołowrotków*, na których ręczna robota nigdy nie doścignie tyle wyprząść ile machina z obsługą małych dziewcząt użytych do pilnowania tylko nitek, (jak się czasem która w przędzeniu przerwie), na sztucznym przyrządzie żelaznym zrobić może. Dość jest powiedzieć, że jeżeli *talka* przędzy ręcznej na łokieć płótna kosztuje groszy *piętnaście*, przędzy maszynowej tyleż, nie kosztuje drożej nad grosz *jeden*.

Do pomocy w wyrobieniu płótna wynaleziono także *warsztat tkacki mechaniczny*, na którym tkacz dziennie wyrobi *dwie sztuki*, co na warsztacie prostym we dwa tygodnie zaledwie zrobić zdoła. Wreszcie i *bielenie* płótna obmyślono prędsze i łatwiejsze, tak, że dziś wszystkie około niego zachody i prace niesłychanie są tańsze, niżeli dotychczasowe roboty płóciennicze u nas kosztują.

Otóż te nowe sposoby sprawiają wielką taniość płótna zagranicznego, z którego ceną, wyroby nasze żadną miarą zrównać się nie mogą i to jest przyczyną, że u nas płóciennictwo przez nieużywanie tych sposobów upada. Przedsiębiercy fabryk za granicą robią miliony, bogacąc się z naszego lnu sprzedawaniem nam z niego wyrobionego płótna, za które wielkie summy rok rocznie z kraju bezpowrotnie wychodzą.

W ciągłej i nieustającej potrzebie wyrobów płóciennych, przy zwiększającym się coraz niedostatku takowych, nie ma dla nas innej rady, jak tylko z gotowych u ludzi wynalazków korzystać, zaprowadzając u siebie fabryki takie same, oszczędne i wielki zysk przynoszące. Trzeba albowiem wiedzieć, że *tysiąc wrzecion* mechanicznych wyprzędza nici *dziennie* średnio licząc, na *20 sztuk płótna*. Gdy na jednym warsztacie mechanicznym dziennie wytkać można *dwie sztuki*; w takiej robocie, porównywając z tem, co nas prosty wyrób kosztuje, fabryka *oszczędza* na *sztuce* płótna:

w przędzeniu nici około	zł.		28
w tkaniu płótna	„	„	11
w bieleniu tegoż	„	„	6
Razem złotych			45.

Przez 300 dni w *roku*, fabryka wyrobić może płótna 6,000 sztuk, a są przędzalnie w Niem-

czech i po sześć tysięcy wrzecion mające. Tak więc fabryka mała *zarabia* rocznie złotych 270,000, a większa 1,620,000 złotych.

Cóż to za zyski ogromne ciągną przedsiebiercy z tych, co nie robią sami płócien, a tylko od nich kupują!

Wynalazek machiny do przędzenia lnu najtrudniejszej ze wszystkich machin, jest niedawny. Powstał on za naszych czasów, na początku tego wieku. Ważność jego za tak wielką była uznaną, że *Napoleon* I cesarz francuzów za wynalezienie machiny do przędzenia *lnu*, wyznaczał nagrody *milion franków*, to jest przeszło półtora miliona złp. Znalazł się taki pomysłowy człowiek, który tego dzieła pożądanego dla dobra ludzkości z chwałą nie przeżytą dokonał. Był nim francuz nazwiskiem *Girard Filip* (Żyrard) mechanik, który z powodów politycznych, nie mogąc w własnym kraju zostać, przeniósł się do innych, a przybywszy z Austryi do Polski przed 30 laty, pozyskał pomoc u rządu Królestwa i tu nad pomysłem swoim pracując, po wielu trudach pierwszy doszedł do tego, że nakoniec taką machinę użyteczną zbudował. On to potem zawiązawszy spółkę z kapitalistami tutejszymi, założył fabrykę wyrobów lnianych w *Żyrardowie*, od jego imienia tak nazwaną, która dotąd istnieje przy stacyi Drogi żelaznej Warszawskiej o 7 mil od Warszawy, w dobrach Ruda Guzowska.

Anglicy jak tylko o tym wynalazku zasłyszeli, zaraz tysiące machin nabudowali, i dziś tam nie ma płótna inaczej wyrabianego, jak tylko na machinach. Naród ten przemyślny, wszystko, o czem tylko pomyśleć można, o czem się nikomu nie śniło, robi za pomocą machin. Tam to machinami przędą, tkają, szyją, strzygą, krają, wiercą, piłują szlifują, kują żelazo, heblują, drukują, żeglują, jeżdżą, orzą, sieją, żną, koszą, młócą, kopią, łamią skały; i gdzie tysiąc ludzi nie dźwignie, tam machina z siłą sto koni zastępującą, bez trudu robiąc, wykonywa najcięższą pracę, ludzie tylko obsługują przyrządy i poddają jej robotę. Słowem, machiny w Anglii robią dziś za *sto milionów ludzi* i z wynalazkami coraz nowemi. Bóg wie, do czego tam jeszcze nie przyjdą. Przy tem wszystkiem wszakże, machiny ludziom zarobku i chleba nie odbierają, owszem ich bogacą. Dla każdego człowieka zawsze i wszędzie znajdzie się inna robota, kiedy tylko pracować zechce.

Po tylu latach i tak pomyślnem szerzeniu się przemysłu płóciennego za granicą, dotąd u nas zaledwie jedna fabryka wyrobów lnianych zaprowadzona w Żyrardowie, dziwne przechodzi koleje. Kosztowała miliony, a nie dała pożądanego wzoru krajowi, pomimo najzyskowniejszego odbytu na wszelkie, tak cienkie jak i grube wyroby, począwszy od nici, płótna, bielizny stołowej, płócienek, drelichu, aż do worków zbożowych. Tak u nas nieumiano pojąć ważności najpożyteczniejszego ze wszystkich zakładu.

Jakie zaś korzyści przynosi, dopiero okazało się, kiedy od niedawnego czasu przeszedł w ręce cudzoziemców, którzy nabywszy takowy z funduszem mało znaczącym w porównaniu z jego wartością, robią teraz wielki majątek, działając wyłącznie w swoim tylko interesie. Takich bowiem przemysłowców dobro kraju wcale nie obchodzi i nie troszczą się oni o postęp, ani radzi są dopomagać do szerzenia tego przemysłu, który im zyski przynosi.

Płóciennictwo tak łatwe do zaprowadzenia, jest w stanie kwitnącym niedaleko od nas, na Szląsku i w Saxonii, gdzie ono tysiącom rąk daje zatrudnienie i sposób do życia, a przedsiebiercom wielkie dochody. Kapitał w tem przedsiębierstwie ma pewne i bezpieczne umieszczenie. Przy takiem dziś wydoskonaleniu machin do przędzenia lnu i taniości ich, oraz taniości lnu, a wysokiej cenie płótna, zakład płócienniczy wzniesiony na jakąkolwiek miarę, większy czy mniejszy, opłaci się sowicie i nie narazi na żadne ryzyko lub zawód, gdyż wyrób przysposobiony zawsze znajdzie zyskowny odbyt, kiedy płótna wszystkie pięć części świata potrzebują. Dotąd nie mamy go jeszcze tyle, żeby wystarczało na własną potrzebę, musimy ze szkodą swoją i uszczerbkiem zamożności krajowej, sprowadzać drogo płacone z zagranicy, a możemy i powinniśmy mieć swoje tanio u siebie wyrobione, nie tylko na własne potrzeby, ale nawet do zbycia dla innych krajów.

U nas, jako początkujących w nowej gałęzi przemysłu, dosyć będzie zaczynać od zaprowadzania fabryk na 500 do 1000 wrzecion, dla łatwiejszego rozwinięcia i pewniejszego powodzenia przedsiębierstwa.

Gdzie kapitału nie będzie na taki zakład, tam można małym kosztem zaprowadzić same tylko *warsztaty tkackie* mechaniczne, do wyrabiania płótna z przędzy *ręcznej*. Będzie i to korzystne dla mniej zamożnych i małych majętności, nawet dla kolonij pojedynczych, gdzie ludność nie mająca zatrudnienia, może z pożytkiem zajmować się płóciennictwem. Sprowadzić tylko lnu gotowego z Maryampolskiego powiatu, gdzie jest go dostatek, i dostarczyć kobietom wiejskim i małych miasteczek, mającym dużo wolnego czasu do przędzenia, mianowicie wyrobnicom, a wyprzędzione przez nie na kądzieli lub kołowrotkach nici, łatwo potem wyrobić na płótno w warsztacie mechanicznym, jaki jeden dostarczając dziennie po dwie sztuki, przez rok może wyrobić sztuk 600, co niemałą przyniesie korzyść dla gospodarstw czynszowych.

—

Na przyszły raz pomówimy więcej o płóciennictwie.

Stary żołnierz.

—

Z powodu wielkiej rozległości każdego stołecznego miasta, uczciwość i szlachetność pojedynczych mieszkańców, a zwłaszcza należących do klassy uboższej, mały w ogóle rozgłos znajdują, i inni prócz bliżej ich otaczających nie wiedzą wcale o ich częstokroć wielkich poświęceniach niesionych dla swoich współbraci. Taki człowiek żyje bez sławy, która mu się niezaprzeczenie należy. Skromność wrodzona ludziom poświęceń, tamuje im właśnie drogę do chwały. Uczciwy człowiek, postępujący wedle praw przez Boga i naturę mu nadanych, znajdując jedyną nagrodę w sercu swojem i czując błogi spokój duszy po spełnieniu czynu szlachetnego, nie pragnie rozgłosu; wie on, że za swoje dobre uczynki lepszą nagrodę na sądzie Bożym otrzyma. Lecz znowu z drugiej strony, gdy przykład takiego człowieka może zagrzać drugich do cnoty i prawości, to obowiązkiem jest każdego podać do wiadomości publicznej, człowieka, co całkowicie się poświęca dobru drugich.

Przy jednej z odleglejszych ulic naszego miasta położony jest skromny domek; mieszkańcy jego jak on skromni i ubodzy byli nieliczni. Między nimi odznaczał się staruszek, z którego twarzy pooranej zmarszczkami, głowy siwizną pokrytej lecz wzniesionej do góry, szczerości i uczciwości malujących się na jego obliczu wnosić można było, że to musi być jeden z żyjacych pomników wiekopomnej wielkiego Napoleona sławy. W izdebce jego zawieszony nad łóżkiem krzyż legii honorowej, utwierdzał nas jeszcze bardziej w tem mniemaniu. I rzeczywiście był to nieodstępny towarzysz i świadek czynów wielkiego wodza, którego za wyższą istotę uważać przywykł; a nic nie przydawało mu więcej przedmiotu do rozmowy, jak gdy kto napomknął cośkolwiek naszemu żołnierzowi o *małym kapralu.* (*) Wówczas to widać było, jak rósł w zapale, jak mu głos drżał, a łza się w oku kręciła. Lecz ocierał te łzy skwapliwie, bo wstydził się rozrzewnienia, które jak mniemał, obcem żołnierzowi być powinno. Patrząc na tego starca w chwili opowiadania i widząc jego lica okryte rumieńcem, a prócz tego uważając, jaka w tej chwili wymowa ożywiająca z ust jego płynęła, mimowolna rodziła się w sercu cześć dla owego szlachetnego żołnierza. Życie skromne, sumienie czyste, na którem żadna nie ciężyła wina, a nadewszystko surowe zasady życia, jakich się trzymał, sprawiły, że zdrów na ciele i umyśle, dożył późnego wieku.

Codziennie rano słuchał Mszy Śtej w pobliskim kościele, bo mawiał, że kto z Bogiem, to i Bóg z nim, a potem do zwykłych udawał się zatrudnień. Wychodził następnie z piłą na miasto i w jednem ze stanowisk traczy czekał na robotę. Każdy go z ochotą najmował, bo widząc szlachetność malującą się na twarzy jego, z zaufaniem powierzał mu swoje drzewo. Zwykle ci, u których pracował, oceniając jego chęć do pracy i widoczną gorliwość, udzielali mu także i posiłek, a tym sposobem starzec nasz mając pieniądze i nie potrzebując nic z nich wydać na utrzymanie, starannie je zbierał. Zdarzało się, że nieraz towarzysze nakłaniali go, aby szedł do szynku; ale on nigdy do tego źródła wszelkich nieszczęść nie uczęszczał, bo mawiał, że kto trunków zbytnie używa, ten jest niższą istotą od zwierzęcia.

Powróciwszy do domu po całodziennej pracy, dziękował Panu Bogu za udzielony chléb powszedni i uprosiwszy Go o nowe siły na

---

(*) Tak wojsko francuzkie nazywało Napoleona 1go.

dzień jutrzejszy, kładł się na spoczynek i spokojnie zasypiał. W niedzielę każdą schodziły się do niego dzieci lokatorów domku, a między niemi odznaczały się dzieci biednego szewca przyjaciela naszego żołnierza, aby słuchać jego opowiadań zawsze zajmujących; bo starzec zawsze coś nowego swoim młodym gościom umiał opowiedzieć. Przeto lubiły go dzieci i rade, swego jak nazywały dziadka, odwiedzały.

Wspomnieliśmy już o przyjacielu żołnierza. Przychodzi więc teraz z kolei o nim kilka słów powiedzieć.

Naprzeciwko drzwi stancyi zajmowanej przez naszego żołnierza, mieszkała rodzina biednego szewca. Człowiek ten straciwszy żonę przed rokiem, która mu pozostawiła troje dzieci, był tym sposobem pozbawiony istoty, która jedna gdy mąż pracował na utrzymanie, mogła z macierzyńską troskliwością opiekować się dziećmi. Będąc z natury chorowitym, często zapadał na zdrowiu, a przeto niedostatek nie był obcym rodzinie naszego rzemieślnika.

W tej chwili właśnie leżał w łóżku dręczony chorobą. Dzieci chociaż starały się ojca pielęgnować, nie mogły wszakże zastąpić przy łożu chorego pomocy, jaką człowiek doświadczony mógłby mu przynieść. Stary nasz żołnierz często go odwiedzając, starał się mu dowieść swych przyjacielskich dla niego uczuć. Złożonemu zaś chorobą przyjemnie było widzieć przy łożu swojem jedno przynajmniej szczere i uczciwe oblicze, które z całem współczuciem pocieszało chorego i przedstawiało mu tę prawdę, że życie ludzkie jest tylko jednem cierpieniem, jedną drogą, zasianą cierniami i głogami. Widząc w nim tyle dla siebie życzliwości, biedny rzemieślnik mógł z pewnością jemu zaufać. To też często składając głowę na piersi starego żołnierza, wyjawiał mu swoje myśli, swoję obawę o przyszły los nieletnich swych dzieci, gdyby mu Pan Bóg zamknął oczy. Pocieszał go w tem stary przyjaciel i mawiał: że Bóg miłosierny o żadnem swojem stworzeniu nie zapomina, i że właśnie niemowlętom zginąć marnie nie pozwoli. Jednakże czy to skutkiem obawy o los swoich dzieci, czy też w skutek choroby, zaczął nasz szewc niknąć powoli, do tego stopnia, że obawa o jego życie z każdym dniem wzrastała. Stary żołnierz widząc przyjaciela w niebezpieczeństwie, pomagał mu jak mógł i nawet z grosza przez siebie oszczędzonego niósł pomoc przyjacielowi. Lecz starania jego były daremne.

Gdy pewnego dnia oddalił się chwilowo, aby coś kupić dla chorego, ten podczas jego nieobecności zakończył życie. Płacz w domu powstał ogromny, dzieci chociaż nie pojmowały jeszcze dobrze, jaką stratę przez śmierć ojca poniosły, jednakże widząc zimne swego ojca zwłoki, zachodziły się od płaczu. Skoro nasz żołnierz do domu powrócił i ujrzał smutną rzeczywistość, zapłakał po przyjacielu i nad małemi dziećmi zostawionemi tak bez żadnej pomocy. Ufając jednakże w Boga, a poczytując sobie za obowiązek opiekowania się dziećmi przyjaciela, postanowił je zabrać do siebie.

Po pogrzebie, gdy już dzieci do niego zostały przeprowadzone, (gospodarz zajął ruchomości pozostałe po ich ojcu na zaspokojenie zaległego komornego), wystawił im ich położenie i wytłomaczył szczególniej starszemu synowi, aby się przyzwyczaił do pracy, która go czekała, jak równie i jego braci. Oddał starszego sierotę do stolarza, aby u niego uczył się rzemiosła, a młodsze dwoje dzieci zostawił u siebie, póki wieku stosownego nie dojdą, aby za przykładem starszego brata także obrać sobie sposób jaki do życia.

Zastąpił on im ojca, bo z całą troskliwością krząta się koło ich dobra. Często sam prawie sobie od ust odejmował, aby sierotom tylko dogodzić i tym sposobem wykierował ich na ludzi. Po upływie lat kilku, gdy młodsi podrastali, oddał ich także do rzemieślnika, iżby zapatrując się na brata, stali się pożytecznymi ludźmi. Teraz gdy święta nadchodzą, zgromadzają się wdzięczne dzieci u swego opiekuna, a on cieszy się ich widokiem.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 14 (26) maja 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański*.